

ZE ŚWIATA.

Wybory do rady miejskiej. — Cornelius Nepos. — Jaka powinna być rada miejska. — Zaściankowe filisterstwo. — Przygody ojca i syna w Paryżu.

Mamy w Krakowie ruch, jak gdyby ktoś do mrowiska nalał wrzącej wody. Tą wrzącą wodą są wybory. Gdzie tylko zejdzie się kilku ludzi, natychmiast urządzają sobie improwizowane zgromadzenie przedwyborcze, na którym wszyscy mówią równocześnie, zarzucając sobie nawzajem sobkostwo, ignorancję, polowanie na dygnitarstwa i t. p. A co się dzieje na zgromadzeniach publicznych, wiecie z codziennych relacji dzienników krakowskich. Osobną rubrykę stanowią tak zwane sprawy zakulisowe, które każde stronnictwo przykrywa wstydliwie liściem figowym.

Czy mam wzorem Homera lub Wirgiliusza wezwać Muzy na pomoc, ażeby godnie opisać krakowskie wybory? Mam zacząć od stańczyków, czy demokratów, czy od socjalistów? Czy mam opiewać Federowicza, Rottera, czy Marka? Czy mam radować się z pogromu Miedniaka, czy też łzy nad nim ronić? Czy mam bić „brawo“ pani Bujwidowej, czy też ją potępić. A może należałoby wspomnieć o hyenach wyborczych w anglezach, bluzach i tużurkach? Jaknajchętniej pisałbym o tem wszystkim, gdybym zamiast skromną rubryką „Ze świata“ rozporządzał całym numerem „Nowości Ilustrowanych“. Dałbym portrety zwycięzców i zwyciężonych; życiorysy ich dokładne; wszystkie mowy, które kiedykolwiek wygłosili; stworzyłbym coś w rodzaju wyborczego Corneliusa Neposa dla użytku publiczności, nie chodzącej do szkoły.

Ale skoro wyrzec się muszę tego miłego zadania, to pozwolicie, że w krótkości nakreślę, jak sobie przedstawiam obowiązki radcy miasta Krakowa. Otóż przedewszystkiem — jak sądzę — każdy radca krakowski pamiętać powinien o tem, że Kraków jest miastem... polskim. Ależ to się rozumie samo przez się — zawoła czytelnik. Tak jest, to się rozumie samo przez się, ale to nie przeszkadza naszej radzie miejskiej, że chce być „strasznie“ lojalną, bardziej austriacką, niż Austriacy, bardziej uważającą na stosunki z miłymi sąsiadami, niż sam hr. Gołuchowski. A przy rozmaitych sposobnościach, jak to na jednym z posiedzeń wykazał radca Bartoszewicz, radaby Niemcom usłać w Krakowie tak zaciszne i wygodne gniazdko, ażeby sądzili, że oni są w swoim domu, a my u nich w gościnie.

A dalej pragnąłbym, ażeby radca miejski pamiętał, że Kraków jest ogniskiem umysłowości polskiej. I gdyby o tem pamiętano również podczas wyborów, to byśmy potem na posiedzeniach komisji nie mieli tyle humorystycznych poglądów, tyle zaściankowego filisterstwa, takiego braku odczucia dla zadań kulturalnych. I nie myślcie, że przemawiam w tej chwili przeciwko tym, którzy nie posiadają dyplomów naukowych i wogóle patentu na inteligencję. Można mieć dyplom doktorski i odznaczać się ciasnotą horyzontu umysłowego, można być rzemieślnikiem, a posiadać wrodzone odczucie dla tych rzeczy, które składają się na umysłową kulturę narodu.

W konsekwencji tego, co powiedziałem, pragnąłbym, ażeby rada miasta Krakowa pamiętała o swej powadze ciała zbiorowego, które jest przedstawicielem pełnego chwały grodu Jagiellonów. Mogłbym przytoczyć setki wypadków, w których krakowska rada miejska wobec rządu odgrywała rolę kopciuszka, jakiejś istoty niepełnoletniej. Gospodarskie przysłowie o pokornym cieleciu, które dwie krowy ssie, jest wogóle paradoksem, a w życiu publicznym poprostu głupstwem. Kraków ma zwyczaj prosić nawet wtedy, kiedy ma prawo żądania. To chyba nie przyczynia się do powagi miasta.

A z tego wreszcie wynika, że radca miejski powinien być wobec rządu niezawisłym. W Anglii, gdzie kwitnie samorząd, władze rządowe mają ściśle ograniczony teren działalności; w Austrii rząd ma nadzwyczajnie rozległe atrybucje, a potulna, zwłaszcza w Galicji, ludność pozwala na to, że rząd usurpuje sobie rozmaite przywileje poza ramami ustaw. Wiemy o tem, że władze mają mnóstwo otwartych i ukrytych sposobów wpływania na obywateli, którzy często nieświadomie są manekinami. Otóż niezawisłość radców miejskich od władz rządowych jest niezawisłością miasta.

Wspomniałem o ciasnocie horyzontu umysłowego nawet u ludzi, mających pretensję do inteligencji, a nawet urzędowe potwierdzenie dojrzałości umysłowej pod postacią patentu. Oto na wystawie światowej w Leodyum pośród grupy drzew, obok pałacu sztuki, znajduje się znana grupa rzeźbiarza



Franciszek Wysocki.

Jefa Lambeaux p. t. „Le Faune mordn“. Grupa ta na wystawach w Brukseli, Paryżu, Düsseldorfie i St. Louis uznana została za arcydzieło, a w Leodyum zarząd wystawy skwapliwie przyjął tę rzeźbę. Ale znaleźli się ludzie, dla których faun, walczący z nimfą, stał się kamieniem obrazy z powodu nagoci. Ludzie ci rozpoczęli prowincjonalną krucyatę przeciwko „niemoralnemu“ dziełu, i tak wytrwale obrabiali dyrekcję wystawy, że wreszcie dyrekcja odesłała rzeźbiarzowi jego grupę. W Brukseli, a zwłaszcza w Paryżu, uśmiech politowania był odpowiedzią na to zarządzenie leodyjskich filistrów i fałszywych stróżów moralności.

Dzienniki paryskie opowiadają śmieszną historię o losach pewnego ojca i syna, którzy w Paryżu utonęli w morzu rozrywki. Gdzieś tam w głębokiej prowincji w starożytnym zamku mieszka pewien hrabia feudalny, który zerwał zupełnie ze światem i zamknął się w swoim zamku od chwili, gdy bezbożni republikanie objęli rządy we Francji. Stary hrabia polował, grał w wista z proboszczem i czekał na powrót prawowitego monarchy. Syn jego, młodzieniec, tryskający zdrowiem, polował także otwarcie i skrycie na zwierzynę w realnem i przenośnem znaczeniu, ale w wista nie grał, czy zaś czekał na powrót prawowitego monarchy, nie wiadomo.

Pewnego dnia odbyła się w zamku rada rodzinna, w której wzięli udział członkowie rodziny, ks. proboszcz, wikary i kilku wiernych przyjaciół. Stary hrabia uznał, że niepodobna syna trzymać nieustannie w zamku i że go należy na pewien czas wyprowadzić w świat, a ponieważ dla Francuza jest Paryż światem, więc postawił sobie hrabia pytanie, czy wysłać tam syna, czy nie. Odstraszała go republika, ale z drugiej strony mówił sobie, że w republikańskim Paryżu dosyć jest jeszcze szlachty feudalnej, która pozostała wierna staremu porządkowi rzeczy. Rada rodzinna rozważała długo wszystkie „za“ i „przeciw“, aż wreszcie ks. proboszcz przeważał szalę na rzecz Paryża.

I młody hrabia znalazł się w Paryżu. Minał czas przepisanej podróży do stolicy, stary hrabia czekał codziennie na przybycie syna, aż wreszcie nie mogąc się doczekać go, postanowił sam pojechać do Paryża, przeczuwając coś złego. I dobrze przeczuwał. Trafił właśnie na chwilę, gdy w apartamencie panna Nina czyniła wyrzuty młodemu hrabiemu, że stał się jej niewiernym. W toku rozmowy, nadzwyczajnie burzliwej, panna Nina oświadczyła, że rezygnuje z dalszej miłości hrabiego, ale za pewnem odszkodowaniem.

Stary hrabia, dowiedziawszy się o wszystkim powiedział synowi: „Wyjźdź!“ Syn wyszedł, a stary hrabia rozpoczął pertraktacje z panną Niną. Jak tam owe pertraktacje odbywały się, nie wiadomo, dosyć, że w zamku stara hrabina daremnie czekała na przybycie męża i marnotrawnego syna. Mijał dzień za dniem, aż wreszcie stara hrabina zwierzyła się proboszczowi. Po długiej naradzie ks. proboszcz pojechał do Paryża. Tam skonstatował, że stary hrabia własną osobą pragnął wynagrodzić szkodę pannie Ninie, a młody hrabia zajął się panną Korą, była aktorką byłego teatryku. I pewnego dnia przyjechał stary hrabia, marnotrawny syn i ks. proboszcz, a stara hrabina, załamawszy ręce, zawołała:

— Oto Paryż republikański!

Franciszek Wysocki.

Jeden z największych i jeden z tych, którzy jak skała przetrwali wszystkie burze teatralne ostatnich lat kilkudziesięciu, nie uroniwszy nic ze swojej wielkiej wartości.

Urodził się pan Franciszek we Lwowie w roku pańskim 1855, a rodzice jego mieli gust „zrobić“ ze swego synka znakomitego... inżyniera. Widzieli w nim talent ku temu, choć małemu Frankowi ani rusz nie laża w głowę matematyka, a różne cyrkle i rajscajgi same wysuwały się z rąk. To też pewnego dnia pożegnał się raz na zawsze z logarytmami, sinusami i cosinusami i wstąpił — a było to w roku 1870 — do szkoły dramatycznej, założonej przez Towarzystwo przyjaciół sceny narodowej we Lwowie. Lecz po krótkim już czasie rozwiązało się towarzystwo i upadła istniejąca przy niem szkoła dramatyczna, której duszą i kierownikiem był ówczesny reżyser teatru lwowskiego śp. Karol Królikowski. Wtedy to zgłosił się młody Wysocki — mając poza sobą półtoraroczne studia dramatyczne — do ówczesnego dyrektora sceny lwowskiej Abama Miłaszewskiego z prośbą o przyjęcie... Dyrektor miał zasady... Jedną z tych zasad było: wszystkie szkoły dramatyczne dyabła warte, musisz człowiecze praktycznie się kształcić na scenie, a wtedy ja cię zaangażuję!... Nie było apelacji...

Jedzie tedy pan Franciszek praktycznie się kształcić — oczywiście na prowincję. Zaczyna u dyr. trupy prowincjonalnej Iwańskiego i Swaryczewskiego. Od początku wziął ten rodzaj ról, w których mu dotąd nikt nie dorówna. To były typy ludowe, mieszczańskie. Najlepszym był (i jest) w rolach chłopaków (*Naturbursche*), a obok tego brat lirycznych kochanków. Potem przechodzi pod dyrekcję Woźniakowskiego, Grafczyńskiego i wędruje z nimi po świecie, pracując wszędzie z wielkim powodzeniem. W roku 1876 idzie do Poznania, a w 1877 angażuje go Koźmian z własnej pobudki do Krakowa, gdzie bawi do roku 1880.

W tym roku po blisko dziesięcioletniej „praktyce“ mógł już p. Wysocki wrócić do Lwowa, gdzie jeszcze ciągle rządził dyr. Miłaszewski. Wrócił na stałe i odtąd bez przerwy, a zatem od lat 25 p. Wysocki jest stałym członkiem teatru lwowskiego po dzień dzisiejszy.

Jak już powiedziałem, grywa pan Wysocki od samego początku ze szczególnem zamiłowaniem typy ludowe i lirycznych kochanków — zwłaszcza w pierwszych dziesięciu latach swego pobytu we Lwowie. Po tym okresie przechodzi do ról czysto charakterystycznych, przeważnie dobrodusznych starszków. Przez cały czas specjalnością jego są role chłopaków ludowych, których odtwarza z zadziwiającą plastyką. Do takich należą Janek w „Krakowiakach i Góralach“, Wojtek w „Hulaj dusza“, Marcinek w „Chłopach arystokratów“, Kuba w „Łobzowianach“, Walek w „Wigiliach św. Jędrzeja“ i wprost pyszna kreacja głupiego Janka w „Chacie za wsią“. Taksamo pamiętamy jego świetnych starszków: Błażej w „Posażnej jędnaczce“, Gobbo w „Kupcu weneckim“, stary pasterz w „Zimowej opowieści“, starzec w „Wnętrzu“, Ben Akiba w „Urielu“ i wiele innych. Z typów mieszczańskich tak wybornych a prawdziwych nie wymieniam żadnej roli, gdyż trudny byłby tu wybór — prawie w każdej komedii mieszczańskiej p. Wysocki grał wspaniale. Z amantów lirycznych ostatnią jego rolą jest Aligi w „Córce Joria“.

Znane są powszechnie olbrzymie zalety gry tego artysty. Szczerze i prostota w grze przy znakomitej obserwacji pozwolają panu Wysockiemu stawiać role tak pewnie i świetnie, że na długo zostają w pamięci słuchacza. Zadziwiająca jest ta równomierność, z jaką p. Wysocki traktuje każdą rolę, większą, tytułową, czy epizodyczną. Opracowuje każdą z tą samą sumiennością, każdą pogłębia należycie i z wielkim nakładem pracy ją odtwarza. To też p. Wysocki nie ma ról kiepskich i niemal każdą można uważać za popisową.

Od szeregu lat jest reżyserem lwowskiej sceny, który to urząd dzieli z p. Solskim. Jako reżyser jest tak samo sumiennym i pracowitym, a pamięta o każdej choćby najmniejszej roli, o najdrobniejszym szczególe.

To też p. Wysocki stale cieszy się wielkim mirem wśród swoich kolegów, a sprawozdania dziennikarskie z teatru nie mają dość słów pochwały dla jego pięknej gry.

W życiu codziennem spokojny filozof, patrzący na świat i ludzi przez pryzmat dobrodusznego człowieka, któremu dobrze na świecie, bo mu ten świat nie płaci niewdzięcznością za wielką pracę i wielki talent. A to już dobrze... Klewe.